



Jerzy Z. Pająk

Kielce

WSPOMNIENIA MIECZYŚŁAWA KOCZANOWICZA

WSTĘP

Prowadząc kwerendę w archiwach i bibliotekach lwowskich, natknąłem się na niewielką książeczkę – jednodniówkę z okresu I wojny światowej: *Hold Legionom Polskim. Księga zbiorowa na pamiątkę wkroczenia i pobytu Legionów Polskich w Kielcach*, opublikowaną w Kielcach 15 października 1917 r. Dochód uzyskany z jej sprzedaży przeznaczono na wsparcie żołnierzy Legionów Polskich oraz ich rodzin. Zawiera ona między innymi wspomnienia jednego z tuzów kieleckiej palestry z przełomu XIX i XX w., a zarazem działacza tutejszej prawicy Mieczysława Koczanowicza. Wspomnienia te w całości publikuję w niniejszym tekście.

Jednym z powodów powtórnego wydania wspomnień Koczanowicza jest fakt, że nie funkcjonują one w literaturze przedmiotu, a w kieleckich archiwach i bibliotekach nie ma, oprócz Muzeum Narodowego, wspomnianej jednodniówki. Tymczasem napisana przez Koczanowicza charakterystyka środowiska prawniczego w Kielcach i guberni kieleckiej na przełomie XIX i XX w. należy do unikalnych. Innym powodem jest chęć przypomnienia postaci Koczanowicza, ponieważ spuścizna po nim, w tym pisany przez większą część życia „Pamiętnik” oraz rękopisy odczytów, zostały zniszczone podczas powstania warszawskiego.

Mieczysław Koczanowicz urodził się 15 października 1850 r. w Proszowicach, niewielkim miasteczku leżącym w powiecie miechowskim. Był synem Wincentego, prawnika a zarazem burmistrza miasta Pińczowa, i Eleonory z Mieroszewskich. Dzieciństwo spędził w Pińczowie, tu też w 1867 r. ukończył z odznaczeniem szkołę średnią. Od tego roku studiował na Wydziale Prawa i Administracji Szkoły Głównej w Warszawie. Po jej zamknięciu przez władze rosyjskie w 1872 r. ukończył Uniwersytet Warszawski. W 1873 r. rozpoczął praktykę

prawną jako aplikant w instytucjach sądowych w Kielcach: w sądzie pokoju, w sądzie poprawczym, w trybunale i w hipotece. Od września 1875 do czerwca 1876 r. uzupełniał wykształcenie prawnicze, pracując w Kasacyjnym Departamencie Senatu w Petersburgu. Po powrocie praktykował przez pewien czas u kilku adwokatów kieleckich, a od 1878 r. jako adwokat przysięgły prowadził kancelarię w Kielcach.

Zajmował się również teorią prawa. Po ukończeniu studiów opublikował rozprawę historyczno-prawną *Ustrój państwowy Rzeczypospolitej Nowogrodzkiej* (Warszawa 1873), nagrodzoną na konkursie rozpisany przez Wydział Prawny Uniwersytetu Warszawskiego. Wydał również monografię *Prawo górnicze obowiązujące w Królestwie Polskim* (Warszawa 1896). Była to ówczesnie jedyna praca dotycząca tej problematyki, nagrodzona przez „Gazetę Sądową Warszawską”. W 1906 r. wydał w Kielcach książkę *Stowarzyszenia i związki w ogóle, a stowarzyszenia rolnicze w szczególności*. Swoje artykuły na tematy prawne zamieszczał także w „Gazecie Sądowej Warszawskiej”, w „Kurierze Warszawskim” oraz w „Gazecie Kieleckiej”. Był również współpracownikiem i autorem części haseł *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej Ilustrowanej*, wychodzącej na przełomie XIX i XX w. w Warszawie.

W 1879 r. poślubił w Kielcach Walentynę z Saskich. Była ona córką Wiktoryna Saskiego i Matyldy z Żeromskich, ciotecznej siostry Stefana Żeromskiego. Dom Koczanowiczów był w tym czasie jednym z ognisk życia towarzyskiego miasta. Często bywał tam podczas nauki w Kielcach młody Żeromski, czemu dał wyraz w licznych wzmiankach w „Dziennikach”. Mieczysław Koczanowicz brał żywy udział w życiu kulturalnym Kielc i ziemi kieleckiej. Wygłaszał odczyty i pogadanki na tematy prawnicze, których organizatorem był kielecki oddział Towarzystwa Prawniczego (przez długie lata był jego prezesem). Był członkiem założycielem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Kielcach, w którym pełnił funkcję wiceprezesa (1908–1913), a następnie prezesa (1914–1917). Propagował poznawanie przeszłości i zabytków ziemi kieleckiej, wygłaszając wiele odczytów na ten temat zarówno w Kielcach, jak i w Warszawie. Wraz z Tadeuszem Włoszkiem zorganizował Muzeum w Kielcach (1908).

Politycznie od połowy lat dziewięćdziesiątych XIX w. związany był z formacją narodowo-demokratyczną. Od 1895 r. był członkiem Ligi Narodowej, a od 1905 r. – Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego (SND). W latach 1900–1904 działał w Towarzystwie Oświaty Narodowej (TON), współuczestnicząc w zakładaniu kół TON w powiatach pińczowskim i stopnickim. Podczas rewolucji 1905–1907 r. wspierał strajk szkolny, który wybuchł w tutejszym gimnazjum szkolnym, a którego współorganizatorem był jego syn, również Mieczysław (zmarł w 1907). W imieniu rodziców strajkującej młodzieży wystosował wtedy petycję do Warszawskiego Okręgu Naukowego, popierającą żądania młodzieży dotyczące poloni-

zacji szkoły. Od 1906 r. był działaczem Polskiej Macierzy Szkolnej (PMS), a w latach 1907–1908 – członkiem zarządu kieleckiego okręgu tej organizacji. Szczególnie aktywny był w dziedzinie legalizacji kół i placówek oświatowych towarzystwa. W 1907 r. działał także w Towarzystwie Kolonii Letnich; opracował między innymi statut jego kieleckiego oddziału. W latach 1906–1907 współpracował z redakcją „Kuriera Kieleckiego”, będącego nieoficjalnym organem kieleckiego SDN. W latach 1909–1910 był także członkiem redakcji dziennika „Głos Kielecki” o zabarwieniu liberalno-demokratycznym.

Po wybuchu I wojny światowej był członkiem Komitetu Obywatelskiego guberni kieleckiej oraz Komitetu Obywatelskiego miasta Kielce (1914–1915). Po ostatecznym opuszczeniu przez Rosjan Kielc jako jeden z liderów kieleckiej endecji w sierpniu 1915 r. uczestniczył w nieudanych rozmowach konsolidacyjnych z lewicą niepodległościową w celu wyłonienia reprezentacji politycznej byłej guberni kieleckiej. Podczas okupacji austro-węgierskiej był członkiem Komitetu Ratunkowego Ziemi Kieleckiej (1915–1917). W tym czasie w coraz większym stopniu uwidoczniły się u niego wątpliwości co do przyjętej przez SDN orientacji na Rosję. Po ogłoszeniu aktu 5 listopada zdecydował się opuścić szeregi tej partii i poprzeć politykę aktywistyczną. W kwietniu 1917 r. przystąpił do Stronnictwa Polskiej Demokracji i Centrum Narodowego.

W 1917 r., po przekazaniu przez okupantów części sądownictwa w ręce polskie i utworzeniu tzw. królewsko-polskich sądów, zakończył karierę adwokacką i przeszedł do sądownictwa. Pełnił kolejno następujące funkcje: wiceprezesa Sądu Okręgowego w Kielcach (listopad 1917 – marzec 1918), prezesa Sądu Okręgowego w Mławie (marzec 1918 – luty 1919) i ostatecznie sędzi Sądu Najwyższego RP (luty 1919 – kwiecień 1922). W okresie niepodległej Polski był członkiem Komisji Kodyfikacyjnej RP oraz współpracownikiem „Orzecznictwa Sądów Polskich”. Zmarł nagle 14 kwietnia 1922 r. w Warszawie i został pochowany na cmentarzu Powązkowskim¹.

¹ Informacje dotyczące Mieczysława Koczanowicza podają za: H. Konic, *Koczanowicz Mieczysław*, w: *Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana*, t. 35–36, Warszawa 1904, s. 929; M. Potkaniowski, *Koczanowicz Mieczysław*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. 13, Wrocław–Warszawa–Kraków 1967–1968, s. 326; S. Olgelbrand, *Encyklopedia Powszechna z ilustracjami i mapami*, t. 8, Warszawa 1900, s. 346; A. Massalski, A. Rembalski, *Polskie Towarzystwo Krajoznawcze na Kielecczyźnie 1908–1950. Zarys dziejów*, Kielce 1983, s. 20, 30, 33, 87, 110, 111, 119; J. Pająk, *Konspiracyjne życie polityczne w Staropolskim Okręgu Przemysłowym (1882–1904)*, Kielce 1994, s. 56, 69, 70; J. Z. Pająk, *O rząd i armię. Centralny Komitet Narodowy 1915–1917*, Kielce 2003, s. 318; B. Szabat, *Walka o szkołę polską w okresie rewolucji 1905–1907 w guberni kieleckiej*, wyd. 2, Kielce 2001, s. 59, 197.

MIECZYŚLAW KOCZANOWICZ

ZE WSPOMNIENIŃ PRAWNIKA

W czasie, gdy nadchodzi nowa era polskiego sądownictwa, tak dawno oczekiwana² i tak upragniona, nie będzie od rzeczy rzucić okiem wstecz na przebyte czasy i wrażenia, jakich doznawać musiał prawnik polski pamiętający okres przed reformą 1876 roku i następnie długi, bo czterdziestoletni ciąg sądów rosyjskich.

Karierę sądową rozpoczynałem jeszcze za sądów polskich³ w 1873 roku jako tak zwany wówczas aplikant sądowy. Aplikacja sądowa za dawnych czasów była urządzona o wiele lepiej, aniżeli to było później. Młody prawnik musiał przejść wszystkie ówczesne sądy, a więc sąd pokoju, sąd poprawczy, trybunał, hipotekę, i jak w Kielcach, sąd kryminalny (tych ostatnich było na Królestwo tylko cztery). Niezależnie od tego każdy z nas pracował prywatnie, bądź u rejenta, bądź u patronów trybunału i ostatecznie każdy aplikant po 2-ach lub 3-ach latach aplikacji wychodził zupełnie przygotowany do dalszej pracy. Późniejsza „kandydata sądowa” takiego przygotowania nie dawała. Zwykle przeznaczano kandydata albo do wydziału sądu okręgowego, gdzie pisał tylko wezwania lub protokoły, z czego się niewiele nauczył, albo posyłano go na zastępstwo śledczych sądowych, gdzie się wprawiał, ale mocno jednostronnie. Przy sądach pokoju, zjazdach, w hipotece, u rejentów i adwokatów, gdzie młody prawnik najwięcej miałby sposobności zapoznania się z wymaganiami życiowych potrzeb i interesów, praktyka nie była wymagana.

Sądownictwo przed reformą stało na bardzo niskim stopniu i dopiero w końcowym okresie swego istnienia zaczęło się podnosić z upadku. Dwie były przyczyny takiego stanu rzeczy: brak przez długie lata uniwersytetu w kraju, gdyż zaprowadzone kursy prawne żadną miarą nie mogły temu brakowi zaradzić, a po wtóre śmiesznie małe pensje, wedle etatów jeszcze z początków XIX wieku. Stąd poszło, że wszyscy starsi urzędnicy byli to praktycy, bez najmniejszego naukowego podłoża, sędzili machinalnie, według norm raz przyjętych i ustalonej praktyki, nie dbając ani o jakie bądź postępowe innowacje, ani o głębsze, więcej teoretyczne pojmowanie ducha prawa. Naturalnie między sędziami znajdowali się

² Autor wspomnień pisał je już po 1 września 1917 r., kiedy nastąpiło przekazanie sądownictwa przez okupantów na terenie Królestwa Polskiego w ręce Polaków (oprócz obszarów podporządkowanych Komendzie Ober-Ostu). Utworzono wtedy tzw. sądy królewsko-polskie, wydające wyroki „w imieniu Korony Polskiej”. Spod ich kompetencji wyłączono jedynie sprawy przeciw bezpieczeństwu Rzeszy Niemieckiej i Austro-Węgier oraz ich armii. Na czele wymiaru sprawiedliwości Królestwa Polskiego stanął Sąd Najwyższy z siedzibą w Warszawie. Podlegały mu dwa sądy apelacyjne: jeden w Warszawie (dla okupacji niemieckiej), drugi w Lublinie (dla okupacji austriackiej). Podlegały im sądy okręgowe działające w Częstochowie, Kaliszu, Kielcach, Lublinie, Łomży, Łowiczu, Łodzi, Mławie, Piotrkowie, Płocku, Radomiu, Siedlcach, Sosnowcu, Warszawie i we Włocławku. Sądom okręgowym podporządkowano istniejące już wcześniej sądy pokoju, wyrokujące w sprawach mniejszej wagi. Szerzej zob.: *Wznowienie sądownictwa państwowego polskiego (pięciolecie 1917–1922)*, Warszawa 1923, a także: J. Bardach, *Przemiany ustrojowo-polityczne w latach I wojny światowej*, w: K. Grzybowski, *Historia Państwa i prawa Polski*, t. 4, Warszawa 1982, s. 654–656.

³ Sądy polskie oraz szerzej na temat ustroju sądownictwa w okresie rządów rosyjskich w: K. Grzybowski, *Historia Państwa*, t. 4, s. 654–656.

wychowańcy rosyjskich i zagranicznych uniwersytetów, lecz ci byli nieliczni i szybko awansowali, tak że wyższe sądownicze urzędy daleko lepiej były obsadzone, a nawet dwa warszawskie departamenty senatu, IX cywilny i X karny, stały już na wysokości zadania, a ich orzecznictwo, zwłaszcza cywilne, do dziś dnia nie straciło na wartości i dotąd cieszy się powagą.

Braki, o których mówimy, stosowały się głównie do sądów niższych, gdzie też uposażenie, nie wystarczające na najpierwsze potrzeby życia, zmuszało często do korupcji. Tak np. podpisarz sądu pokoju, urzędnik, bądź co bądź, z pewną władzą sądową, brał 180 rb. rocznie, co w okresie stanowienia etatów brzmiało ładniej 1200 złotych. Pisarz sądu pokoju otrzymywał 300 rb., ale miał przynajmniej legalne dochody z wypisów aktów stanu, rad rodzinnych i hipoteki, w ogóle z wydziału, zwanego pojednawczym, którym zarządzał. Podśędka, odpowiadający urzędowi późniejszego sędziego pokoju, otrzymywał 400 rb., a najwyższy sądowy dygnitarz – senator brał 3000 rb. Wszyscy ci sędziowie opłacali jeszcze emeryturę od pensji, trzeba więc było niezwykłego hartu ducha, by takich dochodów nie uzupełniać... łapówką. Toteż łapownictwo w sądach niższych było na porządku dziennym. W Kielcach nie było lepiej niżli gdzie indziej, smutną to więc pozostawiło pamięć. W trybunale łapownicy stanowili wyjątek, a w sądzie poprawczym za mojej pamięci łapownictwa nie było już wcale, z powodu, że urzędy asesorów i prokuratorów piastowali już wychowańcy Szkoły Głównej, niedostępni korupcji i umiejący swe potrzeby zastosować do dochodów. Ileż bym na ten smutny temat łapownictwa mógł przytoczyć dowodów! Lepiej jednakże się nie dotykać tej brudnej materii, a imiona owych panów oddać wiecznej niepamięci. Ale nie mogę się powstrzymać od przytoczenia zabawnego faktu w tej mierze. Był przed laty w Kielcach znany cudak, oryginał, od dawna już emeryt sędziego, familiarny, każdego tykający, a znany w swoim czasie łapownik. Otóż po wprowadzeniu rosyjskich sądów przedstawiono mu w prywatnym domu dopiero, co przybyłego „prokuratora”. Pan sędzia swoim zwyczajem wita go apostrofą: „Oho, takiś młody i już prokurator; a łapówki bierzesz?”. Nie, odpowiada ubawiony prokurator. „Toś głupi, ja całe życie brałem i nic mi się nie stało, ale nie bój się, gdy zmądrzejesz, będziesz i ty brał”. Czy to nie cynizm, posunięty do ostatecznych granic?

Trybunał Kielecki przedstawiał się daleko lepiej. Byli i tu praktyczni sędziowie, jak pisarz Bieliński, Moll, Złotkowski, ale to byli ludzie bez zarzutu, a wkrótce przyszli skończeni prawnicy: Waniewicz, Grobicki, Smoleniec, Kobyłecki, już z nauką obyci i niosący wysoko sztandar sprawiedliwości. Sędzią hipotecznym był przy mnie praktyk sędziego Umieniecki, hipotekariusz doskonały, ale sam stary kawaler, odludek, dziwak; polecono mi przy nim pracować w hipotece. Kazał mi tylko odczytywać księgi hipoteczne i akty, i więcej ani słowem się do mnie nie odzywał. Otóż raz, podniecony w swej ambicji, przyszedłem wcześniej do wydziału i w kilku przygotowanych księgach napisałem decyzje hipoteczne. Pan sędzia, nic nie mówiąc, takowe przeczytał, z flegmą przekreślił, napisał absolutnie to samo i polecił, abym nadal pisał decyzje na oddzielnych kartkach, czego wreszcie nie wykonałem.

Prezesem trybunału za moich czasów był Pawłowski, wkrótce mianowany członkiem senatu, po nim Klemens Smoleniec, kandydat prawa rosyjskiego, nie pomnę którego uniwersytetu, prawnik doskonały, od wszystkich podwładnych uwielbiany za swój kryształowy charakter i prawdziwie ojcowski stosunek do młodzieży. Po reformie został wiceprezesem sądu okręgowego i na tym stanowisku umarł w Kielcach.

Ostatnim sędzią prezydującym w sądzie poprawczym był Redych, w następstwie śledczy sądowy i notariusz, człowiek zdolny, nieposzlakowany, względem winnych surowy.

Prezesem sądu kryminalnego był Eugeniusz Świecki, urzędnik starego typu, już wiekowy, osobiście czystego i nieposzlakowanego charakteru, lecz na tyle słabego, że krzyżującym nadużyciom w sądzie kryminalnym nie umiał kresu położyć.

W ogóle o dawnym sądownictwie powiedzieć jeszcze można, że daleko lepiej stało cywilne niżeli kryminalne. Objaw ten i do dziś dnia jest widoczny, snadź z dawnych szlacheckich tradycji jesteśmy narodem cywilistów, bo i w naszych jeszcze czasach znajomość i zamiłowanie prawa cywilnego między prawnikami mocno przeważa, z ujmą prawa karnego.

Reforma z r. 1876 znaczne poczyniła zmiany, wprowadzono bowiem dwie nowe procedury, cywilną i karną, oraz nową organizację władz sądowych; oba kodeksy cywilny i karny pozostały dawne.

Co do procedury cywilnej, bez wątpienia obowiązująca przed r. 1876 procedura francuska, narzucona nam siłą wypadków i absolutyzmem Napoleona, wymagała reformy. Zbyt skomplikowana, trudna, formalistyczna, niewielu miała zwolenników, jakkolwiek w zasadzie wielu, i ja w tej liczbie, prze[d]kłada w procedurze system pozwowy, aniżeli dzisiejszy skargowy. Przy pierwszym systemie sędzia słucha sprawy, nie znając jej poprzednio, i ma sobie przedstawiony stan sprawy przez obrońców, którzy dopiero przy rozprawie składają dokumenty i wywody. Stąd na wyrobienie zdania sędziego nie działają żadne *a priori* powzięte przekonania i poglądy, przy systemie zaś skargowym sędzia referent jest istotnym gospodarzem sprawy: on naprzód ją rozważy, i to jednostronnie, najczęściej wyrobi sobie pewne przekonanie, a nawet uprzedzenie, którego po rozprawach stron już mu się trudno pozbyć.

W procedurze karnej zachodziła istotna konieczność jak najszybszej zmiany, gdyż dotąd obowiązywały dwie średniowieczne procedury: w połowie kraju pruska, w połowie austriacka. W dzisiejszej guberni kieleckiej obowiązywały obie w ten sposób, że do spraw z prawego brzegu Pilicy stosowaliśmy procedurę austriacką, a w pow. olkuskim i za Pilicą procedurę pruską. Jakkolwiek obie te przestarzałe procedury bardzo były do siebie zbliżone, jednak bądź co bądź była to anomalia, która dłużej nie mogła istnieć. Ale reformę sądową 1876 r. przedsięwzięto nie w celu istotnego poprawienia i usunięcia wad poprzednich, lecz wyłącznie w celu politycznym. W zakresie jednak procedury karnej reforma stanowiła istotny postęp, oczywiście nie biorąc pod uwagę jej kardynalnej wady „obrusieńja” wymiaru sprawiedliwości.

Co do organizacji władz sądowych, i tu również reforma była konieczną, szczególnie ze względu na potrzebę ograniczenia instancji apelacyjnych. Jeśli dziś korzyść z apelacji w ogóle jest wątpliwa i w nauce sporna, to cóż dopiero powiedzieć o trzech instancjach sądowych, które istniały w procesie cywilnym i karnym. Jedyłą korzyścią było tylko przeciąganie nad miarę procesu i rozwój pieniactwa, bez żadnej korzyści dla wymiaru sprawiedliwości. Również korzystnym nazwać trzeba w procesie karnym oddzielenie organów śledczych od sądzących, czego dawniej nie było. Wreszcie zaprowadzono zupełnie nową u nas instytucję apelacyjną „zjazd sędziów pokoju”, uformowaną na angielskich wzorach. Teoretycznie instytucja taka może jest usprawiedliwiona; ale w praktyce wykazała kardynalną wadę, że zrywa najzupełniej związek między sądownictwem wyższym i niższym. Orzecznictwo w sądach pokoju przez cały blisko czterdziestoletni okres czasu u nas zgoła się nie wyrobiło, a raczej wyrobiło się jakoś dziwnie chaotyczne, kazuistyczne i bezdarmne, a najzupełniej różne od orzecznictwa sądów ogólnych, jakkolwiek i to ostatnie nie stało wysoko.

W ten więc sposób reforma sądowa, ze stanowiska czysto prawniczego, byłaby istotnie niezbędna i korzystna, gdyby nie jej zasadnicza wada, mianowicie jej cel czysto polityczny, a nie ulepszający wymiar sprawiedliwości, i oddanie wymiaru tejże sprawiedliwości w ręce ludzi obcych, nierozumiejących ani języka, ani ducha, zwyczajów i potrzeb miejscowego społeczeństwa: orzekających w języku niezrozumiałym Polakom. Stąd poszło, że jakkolwiek wszyscy odczuwali konieczność reformy dawnego sądownictwa, taka jednak reforma nie mogła być przyjęta z radością i uznaniem, lecz przeciwnie, z niechęcią, jako *malum necessarium*, jako ostatni cios zadany odrębności Królestwa Polskiego. Niechęć owa, powzięta przy pierwszym zaraz wprowadzeniu reformy, w całej sile przetrwała do końca; co więcej, musiała się jeszcze potęgować i wzrastać przy bliższym zetknięciu się z powołanymi do sądów ludźmi. Stąd więc muszę przedstawić osobistości nowych kieleckich dostojników, ich wiedzę, charakter i dążności, zaczem postaram się o najzupełniejszą bezstronność w myśl dawnej prawniczej maksymy *suum cuique tribuendum*.

Zacznę od urzędów mających największą styczność z ludnością, tj. od sędziów pokoju i sędziów gminnych.

Pierwszy zastęp sędziów pokoju, od razu przez ludność przezwanych „morowymi”, odznaczał się przede wszystkim najzupełniejszą nieznanomością praw miejscowych. Panowie ci nie zawahali się przystąpić do sądenia spraw, nie uznawszy za właściwe choćby tylko rozejrzeć się w kodeksie cywilnym, a nawet pierwszy sędzia pokoju w początku stosował prawo cywilne cesarstwa, mianowicie X tom „Zbioru praw”, dopóki zjazd nie zwrócił mu uwagi na tę niewłaściwość. W owym czasie wyszedł w języku rosyjskim pamflet pod tytułem „Blednow”, gdzie autor w niezmiernie dowcipny a złośliwy sposób opowiada przygody byłego komornika petersburskiego, mianowanego sędzią pokoju w Warszawie. Otóż ów Blednow, usłyszawszy wyrażenie, „że tak można by postąpić, chyba podług kodeksu Bismarcka”, ze zdziwieniem zapytał, czy w Polsce obok kodeksu Napoleona obowiązuje i kodeks Bismarcka? Ów sędzia kielecki, nie wiedzący nawet o istnieniu kodeksu Napoleona, jest jaskrawym dowodem prawdy owego pamfletu.

Sędziowie pokoju w Kielcach zmieniali się często, ale trudno powiedzieć, żeby to wychodziło na korzyść sprawiedliwości. Dobrze pamiętam na przykład sędziego, który żadną miarą nie mógł się przekonać, że żyrant wekslu odpowiada solidarnie z wystawcą, opierając się na kodeksie, który mówi, że cesjonaryusz nie odpowiada za wypłacalność dłużnika. Gdy sprawa doszła do zjazdu, ten długo się zastanawiał nad tak trudnym problemem, ale w końcu zmienił wyrok sędziego. Podobnych przykładów można by przytoczyć tysiące, toteż sądownictwo, zwłaszcza cywilne, upadło do niemożliwości; o jakiejś przewodniej myśli w sądeniu, o ustalaniu orzecznictwa mowy nie było. Sprawy najzupełniej jednorodne potrafiło osądzić różnorodnie, zależnie od osobistości stron lub usposobienia i humoru pana sędziego. Znam wypadek, że adwokat, broniący sprawy w zjeździe jakiejś małoletniej oskarżonej o przestępstwo, użył wyrażenia w obronie, że nie byłby adwokatem, gdyby nie przekonał sądu o niewinności obwinionej. Oskarżoną skazano dlatego tylko, aby prezes zapytał humorystycznie adwokata, czy podaje się do dymisji?

Wszystkie te zarzuty stosują się głównie do spraw cywilnych, bo w materii karnej stan był lepszy. Dzięki temu, że ustawa o karach wymierzanych przez sędziów pokoju obowiązywała w Rosji, że dalej praktyka kasacyjna senatu wiele kwestii wyjaśniła i ustaliła, więc sędziowie z prawem tym byli obeznani, a już orzeczeń senatu trzymali się jak pijani płotu, co naturalnie wychodziło raczej na dobre.

Stosunków towarzyskich z owymi sędziami nigdyśmy nie utrzymywali, stąd więc o wadach i zaletach osobistych tych panów nic powiedzieć nie mogę, ale chętnie przyznaję, że byli między nimi ludzie uczciwi, ożywieni może najlepszymi chęciami, ale ani zdolnościami, ani wiedzą prawną nie mogący sprostać zadaniu. Łapownictwa, tego charakterystycznego znamienia rosyjskiego „czynownika”, w ogóle nie było, ale nie ma przepisu bez wyjątku. Pamiętam jednego z takich sędziów pokoju w Kielcach, który jawnie i otwarcie brał kubany i w końcu doszedł do ustanowienia sobie taksy, 10 rb. od przysądzonej sumy, a prócz tego 3 rb. za przyspieszenie sprawy. Doszedł wreszcie do takiej bezczelności, że brał od stron za sądenie sprawy w zjeździe, gdy przydywał na posiedzeniu. Pewnego razu mój klient, oczywiście Żydek, zapewniał mię, że sprawę nader lichą w zjeździe wygra, bo dał 20 rb. owemu sędziemu. Tymczasem sędzię przegłosowano i Żydek sprawę przegrał. Zmartwiony przychodzi do mnie po radę, co robić. Poradziłem, by dane pieniądze odebrał. Istotnie, uradowany wraca pełen pochwał dla sędzięgo. Jak to, oddał ci 20 rb.? Oddał 10 rb., a pozostałe 10 rb. przyrzekł odrobić. Naturalnie nie czułem się obowiązany do sekretu i owo odrobienie rozniosło się w naszym kółku, później doszło do prokuratorii, żandarmów i pewnego pięknego poranku pan sędzia otrzymał telegraficznie dymisję. Podobno później został adwokatem w Rosji, a za oszustwa skończył w kryminale.

Aby mi jednak nie robiono zarzutu, że maluję rzeczy zbyt czarno, sprawiedliwość każe z całej owej plejady sędziów pokoju korzystnie wyróżnić dwu. Jeden z nich był Polak, jedyny w Królestwie Polskim na stanowisku sędzięgo pokoju, a to dzięki temu, że był z unity prawosławnym „po ukazu”. Sędzia Wołkowiński, z uniwersyteckim wykształceniem, był już przed reformą, zdaje się, sędzią prezydującym sądu poprawczego, nie dziw więc, że i na nowym stanowisku odznaczał się znajomością rzeczy i czystym charakterem. Bez wątplenia, gdyby nie jego grzech pierworodny, owa polskość, winien był szybko awansować, ale na tym samym stanowisku pozostał do końca. Drugim sędzią był Rosjanin Wołkow, człowiek zdolny, uczciwy, który poczuł się do obowiązku poznać i język, i prawodawstwo miejscowe; chętnie zbliżał się do Polaków (zwłaszcza gdzie były swobodniejsze Polki). I ten szybko też awansował, z sędzięgo w Chęcinach i Kielcach został prezesem zjazdu, wiceprezesem sądu okręgowego, następnie członkiem izby w Warszawie, wreszcie przed wojną prezesem sądu okręgowego w Piotrkowie.

Co do sędziów gminnych, instytucja ta istniała u nas od czasu reform 1864 r. Ustanowiona dla włościan, pozostawała w ich ręku do czasu reformy sądowej. Przedtem sędziami byli wójtowie prawie wyłącznie chłopci, często niepiśmienni, skutkiem czego wymiar sprawiedliwości pozostawał w rękach pisarzy gminnych, typu najczęściej Sienkiewiczowskiego Zołzikiewicza. Dopiero w 1876 r., po oddzieleniu władzy sędzięgo od wójta, postawili swe kandydatury obywatele ziemscy i, przeważnie, byli wybrani i zatwierdzani. Bywali i włościanie sędziami z wyboru, ale byli to już ludzie o wyższym poziomie umysłowym, chętnie wybierani nawet przez sfery inteligentne. Takim był długoletni, wybieralny sędzia Latała w Jędrzejowie, lub Kawa w Oleśnicy. Nowi sędziowie gminni, nieraz nawet i z uniwersyteckim wykształceniem, od razu wysoko podnieśli poziom i powagę sądu gminnego. Ich wyroki przeważnie zatwierdzano, jakkolwiek z początku, dopóki się praktyka nie ustaliła, nieraz chromały pod względem formalnym i proceduralnym. Później jednak i ten niedostatek się wyrównał; śmiało rzec można, że sądy gminne, szczególnie tam, gdzie sędzia z inteligencji miejscowej przydywał przez czas dłuższy, były najsprawiedliwsze i najlepsze w Królestwie.

Jako przykład początkowej nieznajomości form przytoczę głośny w swoim czasie wypadek. Rozmnożyły się były wówczas kradzieże bydła i koni, wskutek czego ministerium, czy też izba sądowa, rozesłały cyrkularz, aby na wzrost przestępstw tego rodzaju baczną zwrócić uwagę i winnych karać najsurowiej. Jeden sędzia gminny, wykrywszy złodzieja, zastosował ów cyrkularz i skazał go najsurowiej, tj. na 18 lat do kopalń, za co o mało się nie dostał pod sąd i natychmiast go uwolniono. W końcu jednak, gdy parcelacja majątków szybkim postępowała krokiem, brakło ziemian, a kandydatów odpowiednich z włościan nie było, zaczęły się coraz częściej zdarzać nominacje z urzędu i tu już wybór nie zawsze bywał trafny. Wprawdzie mianowano i ludzi z wykształceniem zawodowym, ale już protekcja osadzała krzesła sędziowskie byłymi pisarzami gminnymi, eksoficerami lub dymisjonowanymi urzędnikami, naturalnie już często „istinnymi ruskimi”.

O tej kategorii sędziów wkrótce zaczęły krążyć opowieści: o ich błędach, omyłkach, nieznajomości prawa lub wreszcie o dziwactwach, jak na przykład b. dyrektora dyrekcji szkolnej, któremu się w emeryturze zachciało zostać jeszcze sędzią gminnym, i ten swoimi cudactwami bawił cały okręg sądowy.

To, cośmy mówili o sędziach pokoju, w całości zastosować się daje i do zjazdu jako instancji apelacyjnej. Kazyistyka, dorywczość w sądzeniu, pośpiech w zakończeniu sesji, brak wszelkiej myśli przewodniej lub chęci wytworzenia orzecznictwa to charakterystyczne cechy tego sądu, w dodatku przy zupełnie, a rzadziej nader ograniczonej znajomości prawa. Wszystko tu zależało od wrażenia: jeśli wymowny adwokat umiał dosadnie i przekonująco mówić, mógł uzyskać przychylny, najbezzasadniejszy wyrok. Jedyną zaletą zjazdu było to, że członkowie, może jakimś instynktem wiedzeni, o ile możność pozwalała, starali się utrzymywać wyroki sędziów gminnych, zwłaszcza jeśli sędzią był człowiek inteligentny i, dłużej urzędując, wyrobiony.

Przejdziemy do wspomnień o sądzie okręgowym. Przy wprowadzeniu reformy pozostawiono na stanowiskach połowę Polaków i tu, przyznać trzeba, uczyniono wybór staranny i szczęśliwy. Wszyscy sędziowie kieleccy, jak Smoleniec, Waniewicz, Ateński, Grobicki, Kobylecki, byli z uniwersyteckim wykształceniem i za dawnych sądów zajmowali już wybitne stanowiska. Dwaj pierwsi byli prezesami trybunału, trzeci referentem senatu, Grobicki prokuratorem sądu kryminalnego, najmłodszy Kobylecki sędzią trybunału. Wszyscy wytrwali na placówkach do śmierci; ostatni sędzia Kobylecki wyszedł do emerytury, przesłużony długo ponad lata obowiązkowe. Tego ostatniego Polaka nawet rosyjscy sędziowie otaczali uznaniem, bo on jeden podtrzymywał jeszcze dawne sądownictwo, a przy wyjściu pożegnali go owacyjnie pamiątkowym darem. Do tych owacji, ku oburzeniu sądu, nie przyłączyła się adwokatura i notariat, gdyż myśmy pożegnali czcigodnego sędziego oddzielnie w towarzystwie prawniczym, ofiarując z uznaniem wdzięczności pamiątkowy pierścień. Najwyższe jednak urzędy prezesów i prokuratorów objęli wyłącznie Rosjanie.

Przez cały czas trwania sądów rosyjskich w Kielcach mieliśmy tylko trzech prezesów, każdy odmiennego typu i usposobienia. Pierwszy Anatol Szewicz, petersburski elegant, dżentelmen co się zowie, kryminalista niezły, całą swoją energię obrócił na zapewnienie sądownictwu wybitnego biurokratycznego znaczenia. W owe czasy w Rosji panował antagonizm między sądownictwem i administracją. Otóż Szewicz antagonizm ten przeniósł i do nas. Uważając, że sądownictwo winno stać przed administracją, lekceważył tę ostatnią i wymagał oddawania honorów w stylu oczywiście biurokratycznym. Na sesjach wyjazdowych

sądu do miast guberni wymagał, aby go naczelnik powiatu w paradnym uniformie spotykał, co znowu drażniło panów administracyjnych, którzy nie byli przyzwyczajeni zachowywać się względem dawnych sędziów z podobną estymą. Drobiazgi to wprawdzie, ale, bądź co bądź, nie pozostały bez wpływu; i administracja, i policja zmuszone były szanować sądy, bo przecież prezes był w randze najwyższej, a przynajmniej równej gubernatorowi. W stosunkach z podwładnymi Szewicz w ogóle był grzeczny i układny, chociaż niejednokrotnie jego nerwowość wywoływała starcia. Pamiętam jedno zdarzenie. Do odbierania przysięg w sądzie był wyznaczony ks. Oraczewski, asceta, chorowity, pochodzący z wybitnej szlachty, siostrzeniec Wielopolskiego i sam wreszcie był obywatel ziemski, bo już w późniejszym wieku obrał sobie stan duchowny. Razu jednego ks. O., odczytując brewiarz, schował się był w jakimś kącie sądu, tak że posłany woźny nie mógł go odszukać, a sąd dłuższą chwilę czekał. Zdenerwowany Szewicz wyraża podniesionym głosem admonicją, co ksiądz przyjmuje obojętnie, nie słysząc nawet, o co idzie. To rozdrażnia prezesa do tego stopnia, że po prostu zaczyna krzyczeć na księdza. Wtedy dopiero ks. O. zrozumiał, że do niego mówią, pyta więc z flegmą tłumacza: „co on mówi?”. Gdy mu wyjaśniono, że prezes wyraża mu naganę za spóźnienie się, w cichym kapłanie budzi się ambitny szlachcic i również głosem podniesionym, z majestatycznym gestem, wyborną francuszczyzną odpowiada, że prezes nie ma prawa robić mu żadnych uwag i on takowych nie przyjmuje. Szewicz osłupiał, zawiesił posiedzenie, chciał spisywać protokół i wywołać skandal. Dopiero taktowny sędzia Ateński powoli uspokoił go, wyjaśniając, że, bądź co bądź, za ostro mówił do człowieka tej sfery i z tak ogromnym poczuciem honoru. Dał się prezes przekonać, sprawa ta nie miała dalszych następstw, tylko Szewicz napisał prywatny list do biskupa z prośbą, aby więcej ks. Oraczewskiego do odbierania przysięg nie wyznaczał, co też istotnie się stało, ku obustronnemu zapewne zadowoleniu.

Ów ks. Oraczewski, pomimo swój ascetyzm, nieudzielanie się ludziom, był powszechnie szanowany za swoją dobroć, ofiarność i taktowne znalezienie się w różnych okazjach. W parę lat później, gdy wynikła głośna sprawa seminaryjska, o czym niżej opowiem, w konsystorzu powstał lament, że wszystkich prałatów wywiozą na Sybir. Na to ks. kanonik Oraczewski z całym spokojem wyrzekł: „Ależ panowie, czyż to z Sybiru dalej do nieba niż z Kielc?”. I tym sposobem uspokoił potrwożonych patrów.

Po pewnym czasie Szewicz, stęskniony do stolicy, postarał się o przeniesienie na podprokuratora senatu, a więc na stanowisko nawet w pojęciu hierarchicznym niższe, i opuścił Kielce, składając nawet pożegnalne wizyty.

Drugim z kolei prezesem był członek izby August Szulc, zruszczony Niemiec, lecz ewangelik, ożeniony nawet z katoliczką, Francuzką, która wkrótce w Kielcach zmarła. Z wykształcenia matematyk, prawnik słaby, a przynajmniej nie wychodzący poza zwykły poziom. Był to człowiek spokojny, cichy, nikomu z rozmysłem krzywdy nie zrobił, ale wskutek swego nieczysto rosyjskiego pochodzenia bał się wszystkiego. Gdy władze nakazały do kancelarii sądu przyjmować tylko Rosjan i w kancelariach mówić tylko po rosyjsku, zastosował się do nakazu (choć prezesowie innych sądów tego nie wykonywali), nie ze złego serca ani zawiści do Polaków, lecz po prostu z tchórzostwa. Wreszcie owe nakazy nie na wiele się przydały i pozostały bezskuteczne, bo kancelaria z nami po polsku mówiła i sam prezes musiał w końcu mianować Polaków, bo Rosjan, mających zawsze wyższe aspiracje, nie stało.

Szulc był długo, z górą 20 lat prezesem i umarł w Kielcach.

Po nim nastąpił nowy prezes Edmund baron Raden. To był dopiero osobnik co się zowie: z urodzenia, przekonań, wychowania i domowego życia Niemiec w każdym calu. Polaków nie cierpiał. Prawnik żaden, nawet w sprawach kryminalnych, chociaż długo przedtem służył w prokuraturze. Ku naszemu zdziwieniu objął przewodnictwo wydziału hipotecznego, o którym nawet najłżejszego nie miał pojęcia, ale że nie było tu dużo do roboty, bo tylko dwa razy na tydzień podpisywał decyzje hipoteczne przygotowane przez sekretarzy, którym całkowicie wierzył (bo też w zupełności na to zasługiwali), przeto wybrał sobie to pole pracy. Ale za to działał w całej pełni w kancelarii prezesowskiej. Zaczęły się więc sypać jak grad dymisje, procesy dyscyplinarne, oddawania pod sąd, i to Polaków. W ten sposób oddał pod sąd długoletniego i wyrobionego komornika sądowego, następnie notariusza, ale oskarżenia okazały się tak błahe i nieudolne, że izba sądowa obu uniewinniła, co, naturalnie, jeszcze bardziej podniosło zawziętość tego ciekawego, jako jednostka ludzka, osobnika. Głośnym się stało prześladowanie, wprost do manii dochodzące, jednego adwokata, człowieka nerwowego, upartego, ale zręcznego i umiejącego pod maską niewzruszonego spokoju i z angielską flegmą nagadać rozdrażnionemu prezesowi duserów co się zowie, ale w formie takiej, że prezes nie mógł wprost na nie odpowiadać. Wytoczył mu więc cały szereg oskarżeń bądź całkiem fałszywych, bądź wprost bezzasadnych i proces dyscyplinarny. Potulni sędziowie, acz niechętnie, i to nieznaną większością głosów, zawiesili adwokata na pewien czas w czynnościach, lecz tryumf był niedługi, bo izba sądowa uniewinniła oskarżonego, co podobno Radena doprowadziło do takiego stanu, że aż się pienień z wściekłości. Nienawiść jego do Polaków oczywiście najzupełniej była odwzajemniana i wreszcie w tym punkcie zgadzali się z nami i Rosjanie, którzy również go nie cierpieli, aczkolwiek ze względów służbowych byli jego służkami.

Niezapomniany ten prezes raczył opuścić Kielce przy ostatniej ewakuacji i gdy siedział w towarowym wagonie na walizce, kilka godzin oczekując ruszenia pociągu, ów prześladowany adwokat poszedł na stację i w marmurowym spokoju, ale z machiawelskim uśmiechem, wpatrywał się uparcie w oblicze swego prześladowcy.

Z prokuratorów sądu wybitnie się odznaczył tylko jeden, niejaki Zachar Rieznikow. Inni były to w całym tego słowa znaczeniu „czynownicy”, ani zbyt pożyteczni, ani zbyt szkodliwi, ani wybitnie zdolni, ani też nie całkiem głupi; zajmowali się śledztwami kryminalnymi, działając podług norm raz ustalonych. Ale co innego pan Rieznikow. Ten miał wyższe aspiracje i chęć odznaczenia się, a więc, idąc za kierunkiem ówczesnych prądów, wywołał i prowadził energicznie dwie sprawy: naprzód polityczną w Seminarium Duchownym, a następnie zajął się wykryciem szajki złodzieiów koni. Obie te sprawy rzucają charakterystyczne światło nie tylko na osobę samego prokuratora, ale i na całe ówczesne sądownictwo.

Sprawa seminaryjska, właściwie mówiąc, kryje się dotąd w archiwach ochrony, i ponieważ do jej sądzenia nie doszło, szczegółów zatem ściśle autentycznych i na dokumentach opartych przytoczyć trudno, ale opowiem to, co głośno po mieście mówiono. Prokurator wraz z żandarmami i osławioną ochroną powziął podejrzenie, że między klerykami seminarium istnieje polityczne sprzysiężenie i że ci przechowują jakieś dokumenty. Razu jednego późnym wieczorem wybuchł w seminarium pożar, jak powszechnie utrzymywano, wywołany rozmyślnie przez policję śledczą, by upozorować jej wtargnięcie. Pożar ugaszono, ale dochodząc sprawy podpalenia, urządzono rewizję i u jednego kleryka znaleziono wierszyk rękopiśmienny, nader buntowniczej treści. Jak się okazało, była to znana

piosnka z Mickiewiczowskich „Dziadów”: „Gdy będę na osiedleniu”, przepisana ręką kleryka. Policja śledcza oczywiście Mickiewicza nie czytała, więc przepisowca uznała za autora. Podobno nic podejrzanego więcej nie znaleziono, ale za to wykryto, że cały kierunek kształcenia kleryków jest przeciwny rządowi. Dopuszczono się bowiem tak niesłychanej zbrodni, że uczono języka, historii i literatury polskiej, czego dowiodły znalezione podręczniki. Z tego powodu całą zawziętość zwrócono przeciw profesorom seminarium, ale gdy ci wykazali, że owe zabronione nauki wchodzą do programu dawniej zatwierdzonego przez władzę i że podręczniki są przez cenzurę dozwolone, niepodobna było oddawać ich pod sąd. Skończyło się na administracyjnym wysłaniu w głąb Rosji i na Sybir dwóch czy trzech profesorów oraz regensa seminarium. P. Rieznikow tryumfował, ale niedługo, bo historia stała się głośną, obudziła niechęć władz centralnych w Petersburgu, wskutek czego zbyt gorliwy prokurator zamiast nagrody otrzymał uwolnienie z emeryturą.

Za czasów tegoż Rieznikowa wynikła głośna także sprawa kryminalna, tym razem nie na politycznym podkładzie, o szajkę złodziei. Istotnie, kradzieże koni i bydła tak się były zagnieździły w guberni, że zakrawały na żywiołową klęskę. Obywatele ziemscy i włościanie podnieśli gwałt na beczynność policji. Szczególniej znany i energiczny pracownik na polu interesów społecznych Gabriel Godlewski, pierwszy u nas organizator kółek rolniczych, nie poskąpił trudu ani pieniędzy i o każdej spełnionej kradzieży zawiadamiał gubernatora depeszą. Gdy od niego zażądano piśmiennego oświadczenia, że nie będzie więcej niepokoił gubernatora, odpowiedział, że chętnie to uczyni, ale będzie telegrafował do generał-gubernatora. Wszystko to wywołało na koniec polecenie zajęcia się tą sprawą. Sędziowie śledczy specjalnie w tym celu wydelegowani poaresztowali wszystkich znanych i podejrzanych złodziei, i nader sztucznie sporządzili oskarżenie, że wszyscy owi złodzieje tworzą jedną organizację, tj. bandę czyli szajkę, co znacznie wpływa na surowszy wymiar kary. Przy energicznym śledztwie pod kierunkiem podprokuratora Markiewicza (Rosjanina) wykryto, że do owej szajki należą i strażnicy ziemscy, którzy z łupów otrzymują część należną. Idąc po nitce do kłębka, śledztwo, od strażników zaczynając, znajdowało winnych coraz wyżej, a nawet, jak mówiono, i bardzo wysoko. Stąd niesłychana kompromitacja administracji, jednym słowem skandal. Rieznikow pojechał z raportem do Warszawy i po powrocie wyrzekł do owego podprokuratora charakterystyczne słowa: „zdieś szajkie toczka” (dosyć tego). Ale że ów Markiewicz, który zapewne liczył, że przez tę sprawę wybitnie się odznaczy, nie chciał się temu poddać i zapowiedział, że nakazy prokuratora izby nic go nie obchodzą. Naturalnie zbyt energicznego pana w tej chwili awansowano na wyższą posadę do Cesarstwa; szajce stała się „toczka”, a do rozpraw sądowych pociągnięto tylko wielu podejrzanych zawodowych złodziei, podzielonych na kilka grup, jakoby tworzących zorganizowane bandy, i skazano surowo jako uczestników przestępnych organizacji. Procesowi temu wiele zarzucić można ze względów prawnych i formalnych, ale, bądź co bądź, masowa kradzież koni ustała.

O członkach sądu okręgowego zmieniających się często jak w kalejdoskopie niewiele powiedzieć można. Zwykle służyli w Kielcach krótko i szybko awansowali, skutkiem czego sąd kielecki stał się rodzajem zakładu przygotowawczego do instancji wyższych. Z całej tej plejady korzystnie się wyróżnił sędzia Reincke, który rozpoczął służbę jako sekretarz departamentu izby pod prof. Holewińskim, ten istotnie dobrze poznał kodeks i był zupełnie dobrym sędzią, a nawet autorem cennych opracowań w sprawach stosunku praw Królestwa i Cesarstwa. Szybko też przebiegł stopnie służbowe i w ostatnich czasach był wyso-

kim dygnitarzem w Petersburgu, bo senatorem i naczelnym prokuratorem połączonych departamentów senatu. Również na życzliwą wzmiankę zasługują A. Kwiatkowski i Grigoriew. Pierwszy skończył jako członek izby sądowej w Warszawie, drugi przybył do nas z Cesarstwa na wiceprezesa wydziału cywilnego. Przy pierwszym urzędowym przedstawieniu się adwokatury otwarcie nam powiedział, że ani prawa cywilnego, ani procedury zupełnie nie zna, bo zawsze służył w wydziałach karnych. Łatwo sobie wystawić, jakie to wyrzecz musiało wrażenie, ale bądź co bądź człowiek ten wziął się do pracy i istotnie począł być zupełnie możliwym sędzią, ale wkrótce sam się postarał o powrót do Cesarstwa i żegnając się z adwokaturą, ze łzami w oczach dziękował, że nie korzystała nigdy z jego niewiadomości; przeciwnie, ułatwiała mu pracę, a na pożegnanie wyrzekł uczciwe słowa: „ja, panowie, wracam do Rosji, dla tych samych powodów, dla których wy nie chcecie iść tam”.

Cała reszta kompletu sądującego byli to zwykli szablonowi i sędziowie, czasem bardzo energiczni i baczni, aby sprawy nie zalegały, bo to zapewniało awans. Poważniejszych zarzutów nie mam odnośnie do nich. Łapownictwa w ogóle nie było, jakkolwiek co do kilku były podejrzenia. Parcjerności w sądzeniu Polaków, Żydów lub Rosjan stanowczo nie było i to już duża tych panów zasługa. Pomimo to jeden zarzut wydziałowi cywilnemu uczynić wypadnie, a tym jest sądenie spraw, które wynikły w Kielcach, stąd się rozszerzyły po Królestwie i wyrządziły niemało krzywdy ludzkiej. Mówię o głośnych w ostatnich czasach sprawach majorackich. Trzeba wiedzieć, że dóbr majorackich nie wolno było oddawać w dzierżawę, ale że obdarowani dygnitarze ani nie mieli inwentarza, ani chęci, a tym mniej znajomości rolnictwa, praktyka więc wyrobiła tak zwaną administrację poręczającą, tym tylko różną od dzierżawy, że ustawała z chwilą śmierci właściciela. Administracja poręczająca przez długie lata nie była zaczepiana i była najzupełniej aprobowaną przez jurysprudencję ówczesnego senatu. Dopiero w ostatnich czasach znaleźli się aferzyści, którzy wywołali inne orzecznictwo, że administracja jest tylko pełnomocnictwem do zarządu, które w każdej chwili cofniętym być może. Pierwsza tego rodzaju sprawa rozpoczęła się w Kielcach za wiceprezesostwa wydziału cywilnego niejakiego Podgorodnikowa, który, jak powszechnie utrzymywano, nie wyszedł z czystymi rękami z tej afery. Ostatecznie sąd, biorąc w opiekę jakoby uciśnionych i wyzyskiwanych Rosjan, nakazał natychmiastową eksmisję administratorów, izba sądowa pogląd taki podzieliła i wtedy zaczęły się masowe procesy, już w całym Królestwie, o unieważnianie zawartych umów.

Zagrożeni ruiną dzierżawcy, *volens nolens*, musieli się okupywać, zawierać układy pojednawcze i przez to napychać kieszenie już nie owych nieszczęsnych, wyniszczonych majoraciarów, ale aferzystów spod ciemnej gwiazdy. Na nieszczęście żadna z tych spraw nie doszła do senatu, który by bez wątpienia przywrócił tu porządek, bo dzierżawcy, natychmiast wyrzucani, zmuszeni byli się godzić. Już przed samą wojną najwyższe władze sądowe wytoczyły proces karny przeciwko owym spekulantom o oszustwa, ale wojna wstrzymała dalszy bieg procedury. Jest to może jedyna sprawa, w której można zrobić sądom cywilnym zarzut stronniczości na korzyść rosyjskich właścicieli majoratów. Względ najzupełniej nieusprawiedliwiony, bo jakkolwiek ceny płacone przez administratorów istotnie były niższe od cen dzierżawnych, ale to jednak wynikło z samej natury rzeczy, bo administrator, nie będący pewnym jutra, nie mógł czynić większych nakładów, a stąd i płacić większego czynszu. Przy tym owi właściciele majoratów, w znacznej liczbie byli to już nie dygnitarze państwowi, lecz były typy, któreśmy widywali w Kielcach, podnoszone z rynsztoków przez policję w stanie nietrzeźwym lub też sprowadzane do rejentów dopiero po

sprawieniu im butów i odzieży, bo sami nie mieli się w co ubrać (autentyczne). Dalej, bardzo wielu z nich sprzedawało naprzód Żydom umówione czynsze, aby w danej chwili dostać gotowiznę.

Owe więc uciśnienie rosyjskiego żywołu pochodziło nie z winy administratorów poręczających, ale samych tych panów. Otóż cała ta prawdziwa orgia sądowa była najzupełniej nieusprawiedliwioną i pozostawiła plamę na sądownictwie rosyjskim.